

Pan Bóg z Czeremchy

C-----

Problemem Józefa Morawca była jego liczna i wciąż powiększająca się rodzina. Ożenił się z Hanką w czasie pobierania nauk w studium organistowskim w Kielcach i jeszcze zanim je ukończył, na świat przyszła Danusia. Potem Pan Bóg obdarzył rodzinę Morawców Krystianem, wkrótce potem Wojtusiem, dalej: Mariankiem, Franią i w końcu małą Justysią. Wojtuś zmarł na zapalenie płuc jeszcze w kołysce, tyle co go odstawili od piersi. Ponieważ Frania była słaba na umyśle od chwili, gdy spadła z zastronia w stodole, a Marianek od urodzenia słaby i w rękach, i w nogach, do pracy w domu, obejściu i polu była ich piątka. Do roboty piątka, do wykarmienia siódemka, chociaż Hanka, zwana przez Józefa pieszczotliwie Hanulką, sama potrafiła zjeść tyle, co reszta mniejszych i większych Morawców. Drapał się Józef w łysiejącą głowę i szukał przez lata parafii, która zapewniłaby jako tako znośny byt im wszystkim. O to zaś nie było łatwo. Na zarobek organisty w tamtych czasach składało się to, co ugodzili po cichu z proboszczem, co wpadło ze ślubów, z chrzcin i pogrzebów, co zostało z podziału datków opłatkowych zbieranych w czasie kolędy i wypominków na Wszystkich Świętych i co wskoczyło z nauki muzykowania udzielanej akordeonistom, a potem także gitarzystom (nuty są jednakie, a tabulatura podobna). I dzisiaj nie jest inaczej. Jeśli ksiądz dobrodziej był łaskawy, dorzucał krowę, parę kóz i kury, psa, kota, kawałek kościelnego pola, który organista i jego rodzina mogli obrabiać, i ogród z warzywnikiem, jeśli takowy przynależał do organistówki. Łatwo obliczyć, że zadowolenie było tym większe, im więcej dusz liczyła parafia, im więcej należało do niej okolicznych wiosek i przysiółków. Taka z jedną, dwoma to była lichota-marnota, niewarta starania o posadę, takie z dziesięcioma, czy nawet piętnastoma zdarzały się rzadko. Ale jednak i one mogły nie wyżywić licznej gromadki, jeśli trafił się kutwa proboszcz albo wokół plebana ktoś inny rozciągnął gęstą sieć. Tułał się więc Józef Morawiec po całej diecezji, która w połowie tamtego wieku obejmowała województwo kieleckie i północną część ziemi krakowskiej. Skała, Niedźwiedź, Łany, Klucze i Kluczewsko. Były jeszcze inne? Może tak, spamiętać trudno i wszystko się miesza. Po parę lat, czasem tylko jeden rok, albo nawet i krócej, gdy od razu widać, że trzeba uciekać i byle przed siebie, gdzie oczy poniosą. Ładował więc – jak ten Cygan – na wynajęte wozy dobytek całego życia i jechał dalej szukać swego miejsca. A wraz z nim Hanka, jego Hanulka, coraz grubsza i grubsza, Danusia, Krystian, z roku na rok bardziej zaradni, samodzielni, rośli i silni, co cieszyło Józefa, jednak coraz bardziej i bardziej głodni, co już nie było wesołe, dalej biedna, głupia Frania i lichy Marianek, w końcu rozpieszczana przez wszystkich, nie taka już mała Justysia. Tak wędrując, to tu, to tam, śpiewając i grając, godzinki,

nieszpory, anioły pańskie, gorzkie żale, fatimskie, majowe i czerwcowe, roraty, sumy i wszystkie zwykłe, dotarł Józef Morawiec do parafii Czeremcha Wielka. A był rok 1966.

Rok to był całkiem niezwykajny. W dalekim Rzymie skończył się właśnie wielki sobór, który tak już namącił ludziom w głowach, a tyle miał jeszcze pozmienić, poprzeszawiać. I tam w Rzymie, w Watykanie, i tu, w parafii Czeremcha. Zwyczajne, ludzkie Ojciec nasz zamiast czcigodnego, boskiego *Pater Noster*. Jasne, proste Wierzę w miejsce tajemniczego, dostojnego *Credo*. Nasz, swojski Baranek Boży, a nie wasz na wysokościach *Agnus Dei*. Pokój z wami, Hanko, Józefie, przekażcie sobie znak pokoju. *Pax, pax vobiscum*. I z duchem twoim. *Et cum spiritu tuo*. Idźcie, ofiara spełniona. *Ite, missa est*. Celebrans wśród nas, przed nami, tuż obok i widać mu wszystkie dziury w zębach. Tuż obok? Tak, bo równy nam – wiernym, prostemu ludowi bożemu. Zgorszenie to czy chwala? Takie zmiany, takie nowości. Dobrze, że nie wszystko od razu. Józef drapał się w łysą już prawie głowę. Nowe teksty, nowe nuty, nowe obyczaje, tam w dole i tutaj na chórze. Kiedy klękać, kiedy wstawać, kiedy można usiąść. Kiedy grać, kiedy śpiewać, a kiedy słuchać ciszy.

Rok to był całkiem niezwykajny. W pobliskiej Częstochowie rozpoczęły się obchody Millenium. Tysiąc lat pod opieką Maryi Królowej. Cudowny obraz, który peregrynował po kraju, zaarrestowali i zawrócili z drogi. Odtąd wożono już kopię. Zgorszenie czy chwala? Józef drapał się w łysą już prawie głowę.

Rok to był całkiem niezwykajny. Także i dla Morawca. „Dobrze, żeście przyjechali. Dłużej już czekać nie mogę. Stary organista chorował, chorował, aż umarł, a jego pomocnik nijak nie pasuje ludziom. Że wicher ma w głowie, że niewyraźnie śpiewa i całe wyrazy połyka, że nie zna połowy pieśni, że lubi sobie wypić i zagląda do knajpy jeszcze przed ostatnią mszą, że bałamuci dziewczuchy. Mszyce czeremchy nie dają mi żyć. ‘Wyrzucić, wygonić, przepędzić’. Już tego słuchać nie mogę. O was zaś, Józefie, słyszałem dobre słowa. Mówią, że spokojny z was człowiek, pracowity i organista rzetelny. A zagrajcie mi na tej fisharmonii i zaśpiewajcie ‘Wszystkie nasze codzienne sprawy’. Dobrze. Ładny macie głos, wysoki, czysty. To jeszcze ‘Gloria in excelsis Deo’, rozumie się: ‘Chwała na wysokości Bogu’. Połapać się ciągle trudno. A podgrywać mi będziecie? Bo wiecie, ja czasem nie łapię tonacji. Nie każdy jest Kiepusia. Co do warunków... To duża, bogata parafia, ziemia tu urodzajna, ludzie chętnie na tacę dają, na złość komunistom. Nie będziecie sobie krzywdować, dogadamy się. Mieszkać będziecie wedle kościoła, po tamtej stronie drogi, drugą połowę domu zajmuje kościelny. Budynek murowany, z piwniczką, z tyłu obora i chlew. W sadzie takie papierówki, że sam bym podkradał. To jak, Józefie, zgoda? Możecie zacząć od razu? Nasz Jan Chrzciciel czeka. Jest tylko mały kłopot”.

Kłopot nie taki był mały, jak mówił ksiądz jegomość. Krętymi, wąskimi schodkami, czując na plecach wilgotny oddech wieży, Józef wspiął się na chór, usiadł za kontuarem. Jeden manuał i pedał. Klawiatura niedługa, C do c³. Zdyszany rozpiął kurtkę, zdjął szalik, rozejrzał się. Prospekt nieduży, ale ładnie rzeźbiony, widać, że snycerka to stara, szlachetna robota. Przeżegnał się i nacisnął klawisz. Przemaszerował po pedale. Tam i z powrotem. Skrajna belka wpadła gdzieś do środka, a noga wraz z nią. Strzyknęło w kolanie. Przeżegnał się po raz drugi. Niektóre klawisze nie grały wcale, dźwięki były rozstrojone, kwintowały, syczały. Włączył kolejno kilka rejestrów. Flet otwarty – jasny, przyjemny. Flet kryty – przytłumiony, ciepły. Pryncypał, czwórka – donośny, solidny, ale Salicet nie gra w ogóle. W pedale tylko świszczący Oktawbas. Tremola oczywiście nie ma, a powinno być. Dyspozycja na czternaście głosów – całkiem nieźle jak na nieduży kościół – ale czynnych jest może połowa. Więc to dlatego w prezbiterium postawili fisharmonię. Stary organista miał jakieś sumienie. Na organach można od biedy podawać „amen”, ale dobrze grać na nich nie poradzi nikt. Zaszedł do kancelarii. Więc tak: albo ksiądz dobrodziej zarządzi w trymiga remont kościelnych organów, albo on, Józef, tej pracy nie bierze. Wstyd to dla organisty nie móc grać na chórze. Wstyd i dla parafii. Na razie, przez parę miesięcy może być fisharmonium, trudno. To zresztą całkiem dobry instrument, Lindholm. Znajdziemy organmistrza – jest taki jeden specjalista w Krakowie, Lipiński – ten sprawi się dobrze, wymieni co trzeba, naprawi, zintonuje, nastroi. Trza tylko zapytać, czy nie ma innej roboty w tym czasie. On, Józef, wszystkiego dopilnuje i zadba, żeby proboszcz nie zapłacił za dużo, a robota była wykonana w terminie. Powiedzmy, na Wielkanoc. Przysporzy się chwały Panu i zasług słudze bożemu. Sufragan będzie rad. Więc jak, księżo proboszczu? Jeśli tak, to umowa stoi.

„W szafie organowej jest data: rok 1752. Stary barokowy instrument. Traktura piękna, mechaniczna, ale uszkodzona. Większość piszczałek wykonano z blachy cynowej, niektóre głosy zrobione są z drewna. To zwyczajna praktyka. Najsampierw był to pozytyw. Z zapisków na Subbasie wynika, że w XIX wieku dodano sekcję pedału – w ten sposób powstały organy. Pedałowa wiatrownica stożkowa pochodzi prawdopodobnie z innych, większych organów – tu ją dopasowali i trochę skrócili. Wtedy też, księżo proboszczu, rozbudowano instrument z krótkiej oktawy, o czym świadczy ścisk w szafie organowej. Kolejny remont był na początku tego wieku, o czym mówią listy na nazwisko ‘Franciszek Podgórski’, które temu Franciszkowi posłużyły jako uszczelnienie miecha. Teraz mamy instrument, a raczej to, co z niego zostało, nadgryziony, jak to mówią, zębem czasu, a najbardziej przez drewnojada kołatka. Niektóre drewniane piszczałki są tak zżarte przez robaki, że wypadły ze swoich miejsc! Niedobrze, bardzo niedobrze. Szkoda, bo to zacne, czcigodne organy. Niedobrze, bardzo niedobrze”. Krakowski majster pokasływał i kręcił z dezaprobatą głową. Kręcił nią

nieustannie, gdy wraz z pomocnikami podmieniali zniszczone piszczałki, nasączali drewno trującą robactwo żywicą, lutowali pęknięcia, usuwali zbutwiałą skórę i wytarty filc, wymieniali i podklejali klawisze, naprawiali trakt i manubria, ustawiali połączenie manuału z pedałem, odnawiali polichromię prospektu. Marianek przychodził codziennie na chór i nie odstępował organmistrza na krok. Długa piszczałka daje dźwięk niski, krótka – wysoki. Dźwięk powstaje, gdy powietrze z komory wpada do piszczałki po otwarciu zaworu, to zaś dzieje się, jeśli organista naciska klawisz. Ale musi być włączony odpowiedni głos, czyli r e j e s t r. Może kiedyś i on, Marianek, będzie naprawiał organy? Jak tylko nabierze siły w rękach. Tymczasem wraz z wikarym służyli pomocą jako kalikanci przy próbach rozruszania miecha. Wysłuzoną i hałasującą dmuchawę zastąpiono cichobiezną, niemiecką, z jakiegoś katowickiego kościoła. Dodano wałek crescendo. Remont trwał do końca zimy, teraz organy czekała jeszcze żmudna intonacja i wreszcie strojenie. Mistrz Lipiński stukał w piszczałki swoimi młotkami, podpiłowywał końce, doginał blaszki i przesunął szpunty. Złościł się przy tym bardzo – chyba tylko nieruchomy, zimny wzrok Józefa powstrzymywał go przed jakimiś strasznymi w tym świętym miejscu słowami – zatykał uszy, zamykał oczy, schodził z chóru, wybiegał z kościoła, wracał, wdrapywał się mozolnie po schodach, zaglądał do szafy, coś poprawiał, coś zmieniał, i tak przez okrągły miesiąc. Jednak w Niedzielę Wielkanocną, z pierwszymi podmuchami ciepłego, wiosennego wiatru, organy w „Janie Chrzcicielu” odezwały się jak chyba nigdy dotąd. Święci z kościelnych obrazów i nawet sam Patron z ołtarza spojrzeli w stronę chóru. Józef włączył wszystkie głosy – tutti. Alleluja!...